

Dr Andrzej Prochenko: – Do jazzu dojrzywałem powoli.

Niech gra muzyka!



FOT. PIOTR WANIOREK / ŻELAZNA STUDIO

■ **Doktor ANDRZEJ PROCHENKO** ukończył Akademię Medyczną w Warszawie w 1979 roku. Po studiach rozpoczął pracę w warszawskim Szpitalu Wolskim im. dr Anny Gostyńskiej. Pracuje tam do dziś. Jest specjalistą chorób wewnętrznych i zastępcą ordynatora I Oddziału Wewnętrznego w tym szpitalu.

denckich – Medyka, Remontu – i dalej było granie do białego rana...

– W klubach tłumy, ludzie stali, siedzieli – wspomina dr Prochenko. – Tego typu imprezy prowadził wówczas w taki swój charakterystyczny sposób Jan Tadeusz Stanisławski, znany jako samozwańczy profesor mniemanologii stosowanej. Program kończył słynnym powiedzeniem, pochodzącym z telewizyjnego satyrycznego cyklu „Zezem”, emitowanego w drugiej połowie lat 70.: „I to by było na tyle”.

To były lata studenckie doktora. Potem podjął pracę w szpitalu, w którym leczy do dziś. Szpital przyniósł mu... muzycznego farta. Trafiła do niego jako pacjentka kierowniczka klubu Akwarium, pierwszego w Polsce klubu jazzowego. Znaleźli wspólne zainteresowania jazzowe i pan doktor zaczął częściej bywać w Akwarium, został przedstawiony różnym osobom, z czasem podjął pracę przy organizacji imprez jazzowych. Tak trafił za kulisy.

Przygody gwiazd

Doktor Prochenko, zafascynowany jazzem, by być bliżej gwiazd i ich muzyki, przywoził i odwoził artystów na próby, koncerty, do hoteli, na lotnisko.

Przygód z gwiazdami doktor Prochenko miał wiele. Kiedy pianista Joe Zawinul, legenda jazzu, zagubił swój bagaż, nie zawiniło roztargnienie, lecz nieznamość polskich obyczajów. Jak wspomina doktor, dla muzyka naturalne

Najpierw słuchał kawałków tradycyjnych, bardziej wpadających w ucho. Teraz lubi po prostu jazz. Osluchał się. Przypadek zrządził, że doktor Andrzej Prochenko znalazł się tak blisko gwiazd tej muzyki.

– Lubię jazz jako całość, czasami sięgam do lat 80. i wcześniejszych, a zdarza się, że nawet do nagrań przedwojennych Luisa Armstronga. Lubię słuchać wielu muzyków jazzowych, byłem na wielu koncertach i nigdy nie czułem się rozczarowany – wyznaje dr Andrzej Prochenko, zastępca ordynatora I Oddziału Wewnętrznego w Szpitalu Wolskim w Warszawie.

Studenckie czasy

Fascynacja jazzem u doktora Prochenki zaczęła się na początku lat 70., ale – jak sam przyznaje – powoli dojrzywał do tej muzyki. Jak każdy interesował się wówczas muzyką rockową, a w stronę jazzu zaczęło go ciągnąć dzięki festiwalowi Jazz Jamboree.

– Była to sztandarowa impreza Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, na którą przyjeżdżali ludzie z całej Polski, z zagranicy rzadziej, ale też bywali.

Kilka zaledwie było takich dni w roku, kiedy można było wysłuchać dobrych koncertów jazzowych w Sali Kongresowej w Warszawie. Stamtąd autokarami miłośnicy jazzu jechali do klubów stu-

było, że jeśli zostawi walizki pod drzwiami pokoju hotelowego, to zatroszczy się o nie obsługa. Tymczasem Zawinul był już w Warszawie, a jego bagaż wciąż tkwił w korytarzu hotelowym w Krakowie...

– Miał tam różne drobiazgi, niezbędne podczas koncertu, bo Zawinul wyjeżdżał na scenę z paletą na kółkach, na której poustawiane były różne instrumenty. Wystarczy, że zabrakłoby programu komputerowego czy kart do klawiszy, by pojawił się problem. Przecież tego się nie odtworzy, bo zapisy robi indywidualnie artysta – tłumaczy Andrzej Prochenko.

Na szczęście bagaż został nadany jako przesyłka konduktorska i po kilku godzinach dotarł do stolicy.

Problemy z bagażem nie ominęły również norweskiego saksofonisty Jana Garbarka. Walizki zniknęły na 20 minut przed koncertem, ale muzyk nie był tym specjalnie zaskoczony. Twierdził, że często ginie mu bagaż.

– Cassandra Wilson zawsze przyjeżdżała z garderobianym, który tak naprawdę zajmował się wszystkim. Kiedy przechodziła z garderoby na scenę Sali Kongresowej, garderobiany szedł za nią i wachlował, a ona cały czas sączyła wino z kieliszka – wspomina doktor.

Natalie Cole – piosenkarka, gwiazda jazzu i soulu – przysporzyła organizatorom stresów, gdy okazało się na lotnisku, że paszport zostawiła w hotelu. Dowiedziano dokumenty w ostatniej chwili.

Nie tylko autografy

Andrzej Prochenko ma mnóstwo zdjęć: artystów, z artystami, płyty, plakaty... Czasami autografy zdobywał z trudem.

– Byłem na koncercie Milesa Davisa, legendarnego amerykańskiego trębacza, wkrótce po wydaniu jedynej jego płyty przez Polskie Nagrania – wspomina dr Prochenko. – Wystąpił w Polsce na festiwalu Jazz Jamboree, ale był to występ w ramach europejskiej trasy.

– Na koncercie były sprzedawane płyty, jeszcze winylowe. Kupiłem sobie. Miałem dostęp za kulisy, bo dzięki temu, że pracowałem już przy organizacji imprez, znalazłem się na liście kilkunastu osób, które miały tam prawo wstępu. Tak udało się mi zdobyć autografy Davisa, które złożył

na płytach. Z tego łupu została mi już tylko jedna, reszta trafiła do znajomych, którzy też interesowali się jazzem. Miles Davis nie żyje, a jego płyta z autografem została. On zawsze grał dwa sety, czyli dwa koncerty tego samego dnia. Było duże zapotrzebowanie...

Po autograf B.B. Kinga jechał do Zabrza samochodem kolegi. Przywiózł ze Śląska nie tylko autografy.

– King na swoich koncertach miał zwyczaj rozdawania znaczków. Mnie się trafił taki w kształcie gitarki, ale miał też znaczki z flagą amerykańską skrzyżowaną z polską. King kiedyś lubił dużo grać i zawsze stał podczas występu. Teraz wyłącznie siedzi, ale przecież to już starszy człowiek, bliżej dziewięćdziesiątki niż osiemdziesiątki, a ci artyści żyją intensywnie, dają po 200 koncertów rocznie. Trzeba mieć kondycję, by to wytrzymać – opowiada doktor.

Do najbardziej oryginalnych łupów naszego rozmówcy należy rożek z autografem trębacza Wyntona Marsalisa. Miała być oczywiście trąbka, ale gdy dr Prochenko dotarł na bazar na warszawskim Kole, mieli już tylko rogi sygnalizacyjne. Artysta nieco się zdziwił, ale podpisał.

► Wozilem na próby słynnego wokalistę Ala Jarreau, który w kontrakcie miał zagwarantowaną limuzynę, a ja jeździłem wtedy starym polonezem... Artysta wsiadł bez oporów.

Bliskie kontakty z gwiazdami pozwalają doktorowi Prochence na powiększanie kolekcji zdjęć. Te zaś zbiera od kilkunastu lat. Ma ich naprawdę wiele, a wśród nich m.in. fotografie gitarzysty Johna McLaughlina, Modern Jazz Quartet, Niny Simon – piosenkarki uprawiającej muzykę z pogranicza bluesa, rhythm and bluesa i soulu, która koncertowała również w Polsce. Miała swoje życzenia, gdy przyjeżdżała na Summer Jazz, i były spełniane. Była już starszą panią, miała problemy z poruszaniem się i chciała mieć pokoik do odpoczynku obok sceny.

Przygód z artystami doktorowi nie brakuje. – Przywoziłem z hotelu na próby słynnego wokalistę Ala Jarreau, który w kontrakcie miał zagwarantowaną limuzynę, a ja jeździłem starym polonezem. Artysta wsiadł bez oporów do samochodu i zaczął rozśpiewywać się w aucie – wspomina Andrzej Prochenko. – Miałem satysfakcję. Jarreau śpiewał tylko dla mnie!

Podobna sytuacja zdarzyła się mu z innym geniuszem wokalistyki jazzowej – Bobbym McFerrinem.

Prochenko woził także innych słynnych muzyków – pianistę Chicka Coreę czy gitarzystę Al Di Meolę.

Teraz Andrzej Prochenko nie tylko opiekuje się gwiazdami, ale także udziela im pomocy medycznej w razie potrzeby. Łączy więc jazzowe pasje z medycyną.

Na sali jest doktor

Lekarzem wspierającym organizatorów podczas koncertów został dr Prochenko w sposób naturalny. Gdy zmieniły się wymogi i obowiązkiem organizatora stało się zapewnienie opieki lekarskiej podczas każdej imprezy masowej, padło na niego.

Statystyka jest nieubłagana, zawsze coś się może zdarzyć, jeśli na sali jest 3 tysiące osób, więc jako lekarz, gdy jest taka potrzeba, pomaga artystom. Tak było w wypadku Davida Murraya, który przyjechał akompaniować Cassandrę Wilson, ale zaniemógł. – Zdarza się też, że wielu miłośników jazzu przyjeżdżają na koncerty, choć stan ich zdrowia w zasadzie wskazywał na to, że powinni zostać w domu – przyznaje Andrzej Prochenko.

SABINA AUGUSTYNOWICZ